

E. Rymar

Gorzowski mnich-czarownik z 1525 roku w przekazie Tomasza Kantzowa

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 9, 255-260

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Gorzowski mnich-czarownik z 1525 roku w przekazie Tomasza Kantzowa

W przekazach średniowiecznych o czartowskich sztuczках, „czapkach niewidkach” swe poczesne miejsce ma relacja wielkiego dziejopisa pomorskiego Tomasza Kantzowa o mnichu-czarowniku działającym w Gorzowie.

Tomasz Kantzow (ur. ok. 1505 w Stralsundzie – zm. 25 IX 1542 w Szczecinie) po studiach w Rostoku (od 1526) był (od 1528) sekretarzem księcia wołoskiego Filipa I. Z zachęty księcia pisał dzieje księstwa pomorskiego, najpierw za lata 1460- 1536 (redakcja dolnoniemiecka), potem wcześniejsze (dwie redakcje górnoniemieckie), by wreszcie pod koniec życia, po opuszczeniu dworu (1537) i podjęciu nowych studiów w Wittenberdze jako uczeń Lutra i Melanchtona sporządzić trzecią wersję górnoniemiecką, która przyjęła ostateczną postać już po jego śmierci za sprawą jego przyjaciela z dworu, Mikołaja Klemptzena. Obecnie to końcowe dzieło Kantzowa, trzecia redakcja górnoniemiecka, znana pod tytułem *Pomerania*, wydana drukiem ponownie w Szczecinie w 1908 roku¹, uchodząca od XIX wieku niesłusznie za produkt Klemptzena², przygotowywana jest dla polskiego czytelnika w Wydawnictwie Naukowym Uniwersytetu Szczecińskiego. Czas jakiś potrwa najpierw tłumaczenie, następnie opracowanie redakcyjne i edytorskie. W oczekiwaniu na całe dzieło udostępniamy czytelnikom „Nadwarciańskiego Rocznika” fragment (strony 129-134), passus gorzowski, zresztą gorzowski jedyny, acz obszerny, a to za sprawą mnicha-czarnoksiężnika z zakonu dominikanów. Niesamowite czyny tegoż były głośne, rychło dotarła wieść o nich na Pomorze czy też do saskiej Wittenbergii, gdzie luterański kronikarz pracował nad ostatnią wersją kroniki.

¹ *Pomerania. Eine pommersche Chronik aus dem sechzehnten Jahrhundert*, hrsg. von Georg Gaebel, Band I- II, Stettin 1908

² Literatura dotycząca kronik Kantzowa olbrzymia. Rewelacyjne było odkrycie autografu *Pomeranii* w królewskiej bibliotece w Kopenhadze, co pozwoliło ponad wszelką wątpliwość ustalić autorstwo, zob. J. P e t e r s o h n, *Die dritte hochdeutsche Fassung von Kantzows pommerscher Chronik. Identifikation eines verkannten Geschichtswerkes*, Baltische Studien, Neue Folge, 59, 1973, s. 27-41; także R. W a l c z a k, *Thomas Cantzoww Szudensis – restitutus. Odnalezienie ostatecznej redakcji autorskiej*, Studia Źródłoznawcze 21. 1976, s. 153-155.

Po wystąpieniu Marcina Lutra w 1517 nowinki religijne szybko dotarły do miast nowomarchijskich. Zwolenników nowej religii było już wielu i w Gorzowie w 1525, roku gdy to miały mieć miejsce przedwznowienie zdarzenia na tle zwalczania nosicieli herezji.

*O Janie gorzowskim mnichu-czarowniku z roku 1525
(w tłumaczeniu Krzysztofa Gołdy)*

W tym samym zaś roku wydarzyła się w Gorzowie w Nowej Marchii osobliwa historia, która z pewnością tu nie przynależy, atoli ponieważ dość niestychana i blisko się naszej zdarzyła granicy, przeto opowiedzieć ją muszę. Margrabiemu Joachimowi Starszemu³ mocno zależało, iżby ewangelicy kaznodzieje do jego kraju nie przybywali, jako i nikt się luterskiej nie imat nauki. Byli jednakże tacy, co nie bacząc na to, okazowali luteranom przychylność i księży oraz mnichów nienawidzili. Gorzowianie zaś niedawno czarnego otrzymali mnicha, który kazania miał im głosić i którego za uczonego i pobożnego uważali człeka. On jednakowoż, zgodnie z mniszą naturą, wilczymi chadzał ścieżkami, o adoracji świętych prawil, mnisim stanie i innych bałamuuctwach.

A był w Gorzowie mieszczanin zwący się Mateusz Hasse⁴, na poty luteranin. Rozeszliły go bałamuuctwa mnicha. I gdy razu pewnego mnich przez most przechodził i mijał go Mateusz Hasse, rzekł tenże do mnicha: „Wilk obtudnik, wilk obtudnik!”. Tak bowiem w owych czasach zwykłe księżom i mnichom ubliżano. Wielce się mnich obruszył i rzekł: „Czekajże, czekaj! Skorom jest wilkiem, bacz, iżbym ci wilka do domu nie przyniósł, który cię z charkania takiego wyleczy!”. I odczekawszy kilka tygodni, cztery czy pięć, aż Hasse o tym zapomni, uczynił się niewidzialnym, poszedł do domu Hassego, obaczył, co też tam gotują, i zawsze najlepszą strawę z ognia zabierał, tak że nikt nie wiedział, gdzie się podziewała, i bardzo się wszyscy dziwowali. Potem kamieniami i kijami tak ciskał po domu, że nikt się tam nie czuł bezpiecznie. Czasami, gdy Hasse oraz żona jego do toza poszli, sienniki podpałał, a kiedy ratować chcieli lub krzyczeli „Pożar!” – natychmiast ogień gasił. Często domostwo Hassego za dnia podpałał i niewidzialnie po mieście krążąc, wrzeszczał: „Pali się, pali!”, gdy zaś ludzie na ratunek biegli, pożar ugasał.

Powstał tedy w mieście strach wielki i rada nakazała Hassemu, iżby z żoną i dziećkami z miasta wywędrował. Do cna się ów człek pocziwy w desperacji pogrążył i poszedłszy do łaźni publicznej, kąpał się tam pół dnia bez mała, żeby wszyscy ujrzeli, iż z rozpacy to czyni. Pocieszali go zatem i rzekli, by wyszedł z kąpieli i o siebie samego zadbał, jako i przyobiecali, iż wraz z nim do domu pójdą zobaczyć, co też się tam dzieje; a był pośród nich kat, co się dobrze na czarnej wyznawał magii. Rzekł zatem Hasse, że owszem, pójdzie z nimi, w piwnicy zaś piwo ma dobre, lecz tak okropnie się tam coś ciska i sroży, że piwa na górę nie idzie wydobyć. Było tam takoz

³ Joachim I urodzony 1484, elektor brandenburski 1499-1535.

ilkku czeladników zuchwałych; ci powiedzieli, iż piwo to przynieść spróbują. Poszli tedy do domu Hassego, w izbie się jego rozsiedli, dwóch zaś czeladników dzban wzięwszy duży, zeszło do piwnicy. Ciskał mnich ku nim wielkimi ceglami i jednego tak na bok odrzucił, iż ten uciekł, dysząc z trudem. Drugi jednakże przepędzić się nie dał, choć srodze wokół niego waliło, i wyniósłszy z piwnicy dzban piwa, dał go innym; pili więc, rozprawiając, czymże może być to straszydło. I rzekł jeden z nich, że duch to zapewne być nie może, albowiem gdyby to był duch, tyle by dziwów nie wyprawiał, jeno dom by tylko okrążał i podwórze; czary to być muszą przez jakąś babę starą sprokurowane albo uczonego, którzy to sztuk takich dokonać umieją. Ledwie zdania dokończył, a mnich wielką bryłą gliny weń cisnął, na ziemię obalając, tak że tamten kozła wywinął, aż kat głośnym wybuchnął śmiechem. Mocno to rozeźliło mieszczanina i rzekł: „Czemuż to mnie przewracasz, nikczemny lajdaku, kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś! Tego tu kata wszawego przewracaj, on pewnie bardziej zastępuje na to!” Ledwo skończył, a mnich katowi taki wymierzył policzek, że słuch oraz wzrok mu odjęto. Przyszedszy nieco do siebie, rzekł kat: „To nie duch jest właściwie – to mnich! Ja to czuję!” I zaraz miecza swego dobywszy, ciął nim po wszystkich kątach i siekał powietrze, straszydło pragnąc utrafić. Mnich jednakowoż sprytniejszy był odeni, wyszedł z izby i długą miotłą w domu znalazłszy, tak nią szermował w powietrzu, by kat to zobaczył. Podążył więc kat za miotłą, rąbiąc w nią, ale utrafić nie zdołał. Mnich zaś, naszedłszy go z nagłą, miotłą po oczach walił i w tył spychał, aż się kat na ziemię obalił. Mnich zaś był nad nim: „Obaczyłeś tedy, jak lanie miotłą wygląda!” I nikt kata wyratować nie mógł. Obiwszy go zdrowo, niebawem kata poniechał i schwyciwszy długą włócznię, po domu z nią chodził, fechtując i sztychy we wszystkie rozdając stromy, tak że się wszyscy rozpetzli po kątach. Wkrótce z włócznią schodami na strych poszedł. Był zaś Mateusz Hasse zacnym, zbrojnym mieszczaninem i dobry miał pancierz, który na strychu wisiał. Mnich pancierz ten wdział i dłuźszą chwile po strychu w nim chodził niby kiryśnik jaki, a gdy dość już narobił hałasu, zapadła cisza. Poszli tedy ludzie na strych obaczyć, czy śladu jakiego nie znajdują, nie jednak nie znaleźli krom łajna świńskiego. Że zaś straszydło zaniechać nie chciało, musiał Hasse dom zawrzeć i z żoną oraz działkami z miasta wywędrować.

Następnie przybył dziekan z Mysłiborza, pan Jan von Wedel⁵ wraz z innymi, pragnąc ducha owego – bo inaczej duch to był, co tak się panoszył – zakląć

⁴ Thewes Hasse może z gorzowskiej rodziny Hose czy Hase znanej z 1409 roku (rajca Jan). Michał Huss urodzony w Gorzowie, pastor (1725-1740) w Nieborowie k. Pyrzyc. uchodzi za członka rodziny Jana Husa, która po wygnaniu z Czech osiadła w Gorzowie. Pastor sam uważał się za potomka husyty, bowiem odnotowując w księdze kościelnej Nieborowa (wtedy Isinger) urodziny pierworodnego syna, dodał: quasi ex stirpe repullulabit verus Hussita, zob. J. B r u n n e r, *Aus der Geschichte der Pfarchie Isinger* (1906), wyd 2:w: *Aus unserer Heimat*, Korbach 1993, s.78. Ten czeski (husycki) ślad w Gorzowie warto tropić również być może na okoliczności odnotowane w przyp.6.

⁵ Z wielkiej rodziny rycerskiej Pomorza i Nowej Marchii z linii na Krępcowie, dziekan kolegiaty św. Piotra i Pawła w Mysłiborzu, potem dziekan w Fürstenwalde, drugi tego imienia (inny Jan von Wedel dziekanem znanym z lat 1492-1500).

i przepędzić. Nic to jednakże nie dało i mnich kiedyś nocą do pewnej się zakradłszy panny, powiedział, iż jest Piotrem Langensehe i karą jest jego czyszcową tak się po domu panoszyć, ma ona przeto pójść nazajutrz i rzec kolatorowi⁶, iżby msze zań odprawiano, biednej jego duszy nieco dobrego czyniąc. Zrobiła to panna, mnich zaś z tego na ambonie wielką uczynił obronę, mówiąc: „Spójrzcie zatem, wy marci-nianie⁷, wy heretycy – czyliż to nie ma czyścica? Czyżbyście jeszcze nie wierzyli? Jak mniemam, Pan Bóg nasz dosyć przecie czyni cudów; toteż jeżeli się nie nawrócicie, przykrość się wam przydarzy!” Kazał też dla pozorów kilka odprawić mszy i ludziorz przypomniął, iżby ofiary składali i dawali jałmużnę dla uratowania owej dobrej duszy. Z tego powodu mieszczanie wielce się na luteran zirytowali.

Kilka tygodni później mnich, w domu owym nic już nie mając do roboty, lecz totrostwa nie mogąc zaprzestać – wszedł nocą do pewnego domu, gdzie dwie proste mieszkaly kobiety i chciał do ich toż. Zatrwożone, że ktoś się do domu dostał mimo zawartych dźwierzy, zapytały, kto zasz. Mnich jednak nie odrzekł; sięgnęły zatem ku niemu, wyczuły, iż głowę ma bysą i domysliwszy się zaraz, że mnich – wrzasnęły, iż wszystko rozpowiedzą. On jednakowoż, nie dbając o to, zabrał się stamtąd. Następnego dnia kobiety wielkiego narobiły krzyku i znalazłszy mnicha na kościelnym podwórku, gdzie chodził i się modlił, zaczęły go tajać. Nie zważając na to, rzekł, że oszalały i że to nie on był, po czym wszedł do kościoła. Nazajutrz zaś była niedziela. Podczas kazania poskarżył się mnich na kobiety, mówiąc, iż to luteranki i zmyślają na niego; napomniał też ludzi, aby się pilnie modlili; bez wątpienia Pan Bóg nasz objawi, cóż to jest za straszny, skoro nie chcą wierzyć, iżby to był duch; z pewnością obaczą, że jest to kara Boża. Modlił się tedy lud, mniemając, iż skrzywdzono mnicha.

Wieczorem, zgodnie ze swym zwyczajem, poszedł mnich do domu bractwa kalendrowego, gdzie jeno księża we własnej pijali kompanii, i siedział tam mniej więcej do ósmej. Jeden zaś z księży rzekł doń przypadkowo: „Panie Janie, a nie chcecie to konno się przejechać?” - żartując z niego w ten sposób; mówi się bowiem „jechać konno”, gdy ktoś przez czarną magię dokądś się przenosi. Mnich jako żart to przyjął, a że faktycznie przejazdżkę taką zamierzał uczynić, przeto rzekł, iż za potrzebą wyjść musi. Iżby zaś podejrzanym się to nie wydało, płaszcz swój z kapturem tamże pozostawił i w spodniej jeno wyszedłszy sukni, wszedł do domu jednego

⁶ Tj. opiekunowi ołtarza kościelnego.

⁷ W oryginalne: Martinianer. Obecna wiedza pozwala mi odnieść epitet do odlamu czeskich husytów, wyznających poglądy Marcina Houska, zwanego Martinkiem. To ksiądz katolicki z Moraw głośny z uczoności i wymowy, od 1419 roku gorliwy taboryta. Zalecał m.in. i laikom branie eucharystycznego chleba do ręki i rozdzielanie pomiędzy siebie. Jego zwolenników w liczbie około trzystu wygnano z Pragi. potem wytepiiono. On zaś skazany na śmierć spalony wraz z Prokopem Jednookim. Ocalały niektóre jego pisma i fragmenty traktatów. Znane są liczne związki nowomarchijskich waldensów z Czechami w XV - XVI w. Jeśli epitet prawidłowo odczytujemy, można w nim widzieć kolejny ślad związku mieszczan Gorzowa z husyckimi Czechami. Zob. uwaga w przyp. 3.

z mieszczan. Gospodarz w izbie jeszcze siedział, a żona jego dopiero co poszła do łoża. Mnich także się tam udał i zaczął obmacywać kobietę, jak gdyby posiadać ją pragnął. Mniemając zatem, iż to jej małżonek, rzekła: „Ech, połóćcie się przeciw! Kpicie sobie czy co? Do takich rzeczy z waszej strony jam nienawykła, czy wyście się spili?” Mnich jednak nie popuścił i udał, że wejść chce do łoża. Zdano się to kobiecie podejrzanę, wrzasnęła zatem i rzekła: „Kimże jesteście? Mężu, jeśli to wy – rzeknijcie! Nie przywykłam do tego” Gwar ten wkrótce jej mąż posłyszał i wyszedł z izby. Zmiarkowawszy to, mnich się na stronę usunął. Mąż spytał tedy, cóż się to żonie stało. Odrzekła, iż ją ktoś obmacywał, ona zaś nie wie, któżby to mógł być. Mąż dom przeszukał cały, nic jednak nie znajdując. Niebawem więc spać się położył, myśląc, iż kobiecie przywidziało się jeno. Atoli nie mógł zasnąć. Po pewnym czasie hałas jakiś usłyszał w izbie i pomyślawszy, że to mnich, stągiew chwycił drewnianą i wkradł się do izby; świecił zaś księżyc, tak że było widno. Ujrzał tam, iż jego sekretarzyk ruszał ktoś i przesuwiał, jak gdyby chciał go otworzyć. Wbiegłszy przeto do izby, rązy rozdawał nad i pod sekretarzykiem i utrafił mnicha, to znaczy poczuł, iż człowieka trafił. Przypadł więc chyżo do niego, obmacał i pojął, że to mnich. Ten zaś krzepki był i chciał mu się wyrwać, lecz mąż go siłą przytrzymał, aż żona skrzyknęła sąsiadów, ci zaś przybiegłszy na pomoc, szybko mnicha zgnetli i związali, następnie powiadomili radę miejską, która przybywszy na miejsce, nakazała mnicha odstawić. Prosił, iżby mu jego czarny płaszcz z kapturem przyniesiono z bractwa kalendowego, by miał się czym okryć w wieży. Kat to jednak odradził, mówiąc, że czarodziejstwo całe zapewne w tym płaszczu być musi – inaczej bowiem mnicha by nie schwytano. Poleciała więc rada płaszcz przynieść; zbadano go i stwierdzono, iż z przodu na piersiach karteczka była wszyta z jakimiś znakami, włosy, ziół kilka oraz inne dziwaczne przedmioty, które owym były czarodziejstwem. Toteż mu płaszcz nie oddali.

Tak jednakowoż było, że rada nad mnichami ani duchownymi nie miała jurysdykcji. Napisała przeto natychmiast do pana swego margrabiego Joachima Starego, aby się poradzić, jak z mnichem postąpić należy. Odpisał margrabia, iżby jemu mnicha przywieźli, on zaś sprawiedliwość nad nim uczyni – co radę wielce ukontentowało; nie chcieli bowiem mieć do czynienia z takim robactwem. Postali więc mnicha margrabiemu, który zamknąć go kazał. Od dawna zaś miał margrabia ochotę zapoznać się z czarną magią i z wielu przystawał mistrzami, żaden jednakże nie wydał mu się tak biegły w swej sztuce jak ten. Mile mu było zatem, iż do prawdziwych podstaw owej sztuki może dotrzeć, toteż zaproponował mnichowi, że mu życie daruje i szczerze ponadto uposaży, jeśli tenże swej sztuki zechce go wyuczyć – co mnich mu przyobiecał i ponoć go sztuki nauczył. Powiadają bowiem o margrabi, że gdy z poddanymi swymi sejmował lub inne się odbywały pertraktacje, na których mu zależało – często był na nich obecny, widząc i słysząc wszystko, o czym mówiono i co uradzono, samemu jednakowoż nie będąc widzianym.

*A gdy mnich siedział jeszcze, zjawił się Mateusz Hasse, żądając sądu nad nim, lecz nic nie osiągnął, gdyż rzekł margrabia, iż gdyby mnichowi nie ubliżył, ten by go ostawił w spokoju; on zaś mnicha pośród święty swej tak wyszydził, że mu Hasse właściwie coś jest za to winien; niechże zatem człek ów biedny Bogu dziękuje, że się margrabia niczego nie domaga. I uwolniwszy mnicha, uczynił go kaznodzieją w Spandau, gdzie tenże przebywał lat kilka, atoli niebawem zginął mar-
nie.*

I po dziś dzień żyją jeszcze ludzie, którzy mi mówili, że byli świadkami owego straszidła, wszystko widząc i słysząc. Widać zaś z tego, jak osobliwych diabeł igraszek używa, mnichów oraz innych wykorzystując dla omamienia ludzi i by ich w swojej utrzymać mocy. Atoli niedługo mu się to udaje, rogów swych bowiem ukryć nie potrafi i w końcu rozpoznany zostaje.

Tyle Kantzow. Konfabulował w swym gawędziarskim stylu, ale pod tym względem nie bardzo odbiegał od manieri kanonika krakowskiego Jana Długosza, z którego dziejów Polski czerpał pełnymi garściami. Ale o działalności gorzowskiego mnicha pisał też nieco – o pokolenie późniejszy Peter Hafftiz (ok. 1530-1602) pochodzący z Jüterbog, nauczyciel, a następnie rektor przy kościele św. Mikołaja w Berlinie (1549-1574), autor dziejów Brandenburgii za lata 1388-1595⁸. Korzystał też inną drogą z lokalnej tradycji, bo jego opis w wielu miejscach zbieżny z przekazem Kantzowa, zawiera i inne wątki. Ot np. pisze o przybyciu do Gorzowa w okresie zmagania z mnichem-widmem wędrownego wojaka. Gdy mu o nim opowiadano zaoferował mieszczanom swe usługi, zapewniając, że doprowadzi do wypędzenia intruza z miasta. Zanocował w domu, w którym się go spodziewano. Przy łożu postawił palącą się lampę, obok na skrzyni ustawił krucyfiks. Szpadę wyjętą z pochwy położył obok siebie na łożu. Wnet tajemnicza ręka zdjęła krucyfiks, potem światło zgasiła. Wojak wyskoczył z łóżka ze szpadą i potem całą noc bezskutecznie zmagął się ze zjawą rzucającą w niego poduszką. Również Hafftiz kończy swą opowieść zapewnieniem, że spotykał się jeszcze z ludźmi, którzy z mnichem-upiorem mieli styczność. Ile w tym wszystkim jest prawdy, a ile zbiorowej psychozy i wiary w czary, niechaj czytelnik sam oceni.

Do druku podał E. Rymar

⁸ P. H a f f t i z, *Microchronologicon Marchicum*, Berlin/Cölln 1599.